№ 50. Warszawa, dnia 2 (14) Grudnia 1878 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztowa zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w pierwszym kwartale 1879 r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . **rs. 1.**
Półrocznie . . . . . **rs. 2.**
Rocznie . . . . . . **rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczej, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczej i zwierzęcej, jak niemniej zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju. W kwartale I roku 1879 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**

Półrocznie „ 2 „ 40
Rocznie „ 4 „ 80

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie rs. 1 kop. 50
Półrocznie „ 3 „ —
Rocznie „ 6 „ —

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie ulica Chmielna N. 20.*

JAN-BOSY.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

PRZEZ

A. Delpit.

Wolny przekład z francuzkiego oryginału wierszem.

przez

Joannę Belejowską.

(Dalszy ciąg).

Scena VII.

Jan (*sam*).

Iluż to z nich zginie lub dostanie się w niewolę!... (owija się płaszczem). A to jeszcze nie koniec... nie ostatnie to już ofiary... Strumienie krwi popłyną jeszcze... Niestety!... A więc ona kocha mego brata! gdyby to był kto inny, nie ustąpiłbym nigdy... Ale on!... Gdzie oni teraz być mogą? w jakim kraju szukali schronienia?... Może biedny mój ojciec tuła się po obczyznie... A ta wojna domowa mogła mnie postawić w tak straszném położeniu, iż spotkałbym się z nimi na placu boju... i może... może bym którego ranił albo zabił... a! to okropnie! sama taka myśl przejmuje mnie dreszczem!... (Słychać dwa czy trzy strzały) Alarm! (Posuwa się w głąb sceny) Biegną w tamtą stronę!... (Wychodzi. Chwila milczenia i scena zostaje pusta. Księżyc wysuwa się z za chmur, i ukazuje się Henryk; wchodzi od lewej strony, czołgając się.

Scena VIII.

Henryk, sam; rozgląda się w około.

Nie ma nikogo!... niepodobna uciekać na lewo,—

strzelano do mnie z tej strony, czy kto śledzi za mną? Zwrócę się na prawo, i przekradłszy się przez obóz, inną drogą dostanę się do Chênes... droga nie daleka, za dwie godzin dostanę się do pałacu.

(Posuwa się czołgając, wchodzi Jan).

Scena IX.

Jan, Henryk.

Jan. Nic nie ma. (Potyka się o Henryka).

Henryk. Ktoś idzie.

Jan. Jakiś człowiek! (Porywa Henryka za rękę).

Henryk. Mam nóż!

(Obaj bracia zaczynają się bić i padają na ziemię! Henryk przygniata Jana).

Jan. Zdrada! Żołnierze!

Henryk. Giń! umieraj!

(Wyciąga nóż; Jan się broni; wpadają żołnierze z pochodniami).

Scena X.

Ciż, porucznik Raymon, później Fernanda.

Raymon. Oh!... jenerał powalony na ziemię!

(Chwytają Henryka).

Jan. Aresztujcie tego człowieka!

(Żołnierze chwytają Henryka, wtem otwierają się drzwi małego domku i ukazuje się Fernanda).

Fernanda, (postrzegłszy Henryka). Ach!

Jan. Odprowadźcie go!

(Henryk się odwraca; promień księżyca pada na scenę Jan poznaje brata).

Jan. O Boże! mój brat!.,.

(Załamuje ręce). Raymon, Henryk i żołnierze wyszli).

Fernanda. (idąc do Jana). Nikczemny!

Jan. Fernando!

Fernanda. Nikczemny! zemściłeś się na nim! a ja dziś rano uwierzyłam w szlachetność twoją... niby wracałeś mi wolność, a zamierzałeś miłość jego ukarać jak zbrodnię... I oto ów sławny żołnierz, bohater, ów Jan-bosy najsławniejszy z naszych jenerałów, ów zwycięzca niezwalczony którego tak ogólnie wychwalają i wielbią, którego prawość i honor nieposzlakowany słynie tak rozgłośnie!... a on w cieniu uknuł zamiar morderstwa aby podle zemścić się nad rywalem którego nienawidzi... bo wszak sam wyznałeś że go nienawidzisz!

Jan. Nienawidzę rywala—ale kocham... brata!

Fernanda. Brata!

Jan. Tak, brata! mógłżem przewidzieć że przebrany wejdzie do mego obozu aby widzieć się z tobą. Dla czegóż nie został po za granicami Francyi!...

Fernanda. Jest szuanem.

Jan. On szuanem!... zaczyna się męczeństwo moje!

(Zachwiał się).

Fernanda. Co tobie?

Jan. Co mi jest?... brat twój, jako dowódzca awangardy, udał się pod przewodnictwem miejscowego wieśniaka dla otoczenia powstańców w pałacu des Chênes...

Fernanda. A więc...

Jan. Jestem pewny że ojciec mój znajduje się w tym pałacu! Henryk opuścił go na chwilę aby widzieć się z tobą, i zapewnie zamierzał wrócić do swych towarzyszów broni. (Zasłania twarz rękami).

Fernanda. Płaczesz, jenerale!...

Jan. Nie!... na łzy nie pora!... straszna, bezmierna boleść serce moje tłoczy... to gniazdo szuanów do którego brat twój jest posłany, dziś w nocy zostanie zdobyte przez nasze wojska.

Fernanda. Henryka już tam nie będzie!

Jan. Ale zabiją mego ojca!...

Fernanda. Skądże ta pewność?

Jan. Bo wiem że gdzie walczą za króla, tam będą wszyscy Kardigan'owie—prócz mnie!... bo wszyscy przechowali w sercu, przez pięć i pół wieku niezachwianą wierność.

Fernanda. Zatrzymaj Henryka w więzieniu.

Jan. To go rozstrzelają.

Fernanda. Więc wróć mu wolność.

Jan. Powróci niezwłocznie do tego przeklętego pałacu, do którego może dojść za godzinę.

Fernanda. Tak czy tak śmierć ich czeka... muszę ocalić Henryka... idę...

Jan. Gdzie?

Fernanda. Ostrzedz go...

Jan. W takim razie brat twój i wszyscy nasi żołnierze śmierć znajdą dziś w nocy.

Fernanda. Jakto?

Jan. Czyż nie wiesz jak okrutną i dziką prowadzimy wojnę? Jeźli dowódzca pałacu będzie ostrzeżony i rozstawi w lesie swoich żołnierzy, może bez walki nawet wymordować naszych—gdyż tylko napadając niespodzianie możemy zwyciężyć.

Fernanda. Odmawiasz mogąc ocalić obu?...

Jan. Dobrze, idź ostrzedz Henryka... jeżeli śmiesz!

Fernanda. Idę... Nie! nie mogę tego uczynić... mogłabym ocalić go jednem słowem... obowiązek nakazuje mi milczeć! Gdybym dziś przekroczyła prawa honoru...nikczemność moja spadłaby i na niego. Nie, miłość nie zagłuszy głosu obowiązku... kocham go całą duszą—i zabijam milczeniem!... Ale przynajmniej zostanę godną jego miłości... Bądź zdrów, Janie.

Jan. Fernando!... Uściskaj mnie, siostro.

(Fernanda wchodzi do chaty).

Scena XI.

Jan, Żołnierz.

Jan. Serce kobiety wskazuje mi mój obowiązek... i miałżebym się wahać?... nie! to byłoby nikczemnie! (Woła(Hej!

Żołnierz (wchodzi z głębi). Jenerale!

Jan. Przyprowadź tu więźnia. (Żołnierz wychodzi) Odwagi!...

(Wprowadzają Henryka).

Scena XII.

Jan, Henryk.

Jan. Henryku!

Henryk. Ach! bracie mój!... i ja ciebie chciałem...

Jan. Jestem dowódzcą téj armii.

Henryk. Och!...

Jan. Las ten pełen jest szpiegów bretońskich... ciebie w obozie chwytają w nocy...

Henryk. Janie!

Jan. Nie odpowiadaj! wiem po coś tu przybył... nie! ty w żadnym razie nie zostałbyś szpiegiem... A jednak jak ciężki jest mój obowiązek... nakazuje mi kazać cię rozstrzelać.

Henryk. (Zbliża się wolno do brata i zarzuca mu ręce na szyję). Bracie! jak ty strasznie musisz cierpieć... bo prawdę powiedziałeś; taki jest twój obowiązek... nie lękam się śmierci ale żal mi ciebie!...

Jan. Rozłączmy się bracie... pójdziesz na śmierć ale zginiesz jak żołnierz, zginiesz z bronią w ręku... Wracaj do swoich; kto wie, niezadługo, może jutro, spotkamy się na placu boju, ale wtedy walczyć będziem w obronie swoich sztandarów, i jeżeli polegniesz to śmiercią godną ciebie, śmiercią bohaterską!...

Henryk. Janie!

Jan. Znasz miejscowość i potrafisz wysunąć się niepostrzeżenie?

Henryk. Dobrze.

Jan. A więc idź, bracie!

Henryk. Żegnam cię, Janie!

Jan (zatrzymuje go gwałtownie). Czy kochasz mnie Henryku?

Henryk. Janie!

Jan. O! nie możesz mnie nienawidzić—to byłoby bluźnierstwem! Uściskaj ode mnie ojca który mnie przeklina... (Chwyta go w objęcia). Henryku, tym uściskiem chciałbym objąć was obu!... A teraz idź, bracie!...

Henryk. Bywaj zdrów, Janie!

Scena XIII.

Jan (*sam*).

Oddalił się... i może go już nie zobaczę!... gdybym go był zatrzymał... gdybym nie dopuścił... Lecz honor i obowiązek są zadowolnione... Ojczyzno czy zadość uczyniłem twem wymaganiom?... Ach! płacz! płacz nieszczęśliwy! zamknij się w namiocie i przeklinaj los twój okrutny... Ojciec, brat! i obu ich ja skazuję na śmierć!... O! przeklęta! przeklęta ta wojna domowa, której pogrzebowy dzwon rozchodzi się od miasta do miasta!... Syn walczy przeciw ojcu! o zgrozo!... I skądże się bierze ten wściekły szał pogrążający kraj w otchłań tak krwawych klęsk i bitew?... Szatańskie nienawiści rozdwajają najbliższe serca... ojcowie i synowie mordują się wzajemnie... O! przeklęty! przeklęty czas!... za nadto jestem nieszczęśliwy!... Niezadługo nadejdzie chwila rozpoczęcia walki... moi żołnierze pójdą przyłączyć się do tego żywego muru jaki teraz już po mnie tworzy się koło tego pałacu, aby go w straszną zamienić ruinę... Ach! i patrzeć na te walące się mury, na pożar co je obróci w perzynę... patrzeć i wołać na swoich: Naprzód!... Nie! to niepodobna!... nigdy! nigdy!...

Scena XIV.

Hévrard, Jan.

Hévrard. Janie, kolumna już w drodze; śpiesz za nią!

Jan (biorąc go za rękę). Posłuchaj mnie. Hévrardzie... ten wieśniak nas oszukał... tam... w tym pałacu... nie ma dowódzców Wandejskich... kilku zaledwie prostych szuanów...

Hévrard. Ot!

Jan. Ich pojmanie na nic się nie przyda naszéj sprawie... szkoda straty tylu ludzi... wydam rozkaz zaprzestania wycieczki... (woła) Jest tam kto?

Hévrard (zatrzymując go). Szalejesz! co chcesz czynić?...

Jan (nadzwyczaj wzburzony). Hévrard'zie!

Hévrard. Tak jesteś wzruszony!

Jan (gwałtownie). W tym pałacu który zdobywać mamy, jest mój brat i mój ojciec! powiedz sam czy mogę dowodzić oddziałem którego zadaniem ich zguba!... Czy podobna zdobyć się na tak szatańską odwagę?.. Ty sam musiałbyś być bez serca i litości, gdybyś domagał się abym dowodził w tej wyprawie!

Hévrard. Jakto! cofasz się?

Jan. Muszę.

Hévrard. Ale to być nie może!... Cóż za niecna oszołomiła cię litość?... Cofasz się właśnie w chwili gdy bój wrzeć zaczyna?... gdy obowiązek cię woła!... ależ najostatniejszy z naszych żołnierzy nie zrobiłby tego!... I któż z nas zdołałby cię zastąpić?... Pójdź, spojrz na twych żołnierzy których śmierć dotyka już swem skrzydłem... iluż ich nie wróci! a jednak ani jeden o krok by się nie cofnął... Cóż znaczy na szali gdzie się ważą losy kraju, jakiś tam ojciec i syn!... Spełń twój obowiązek lub hańba cię czeka!...

Jan (drgnął gwałtownie). Hańba!...

Hévrard. Więc złam twoją szpadę; pozostań głuchym na głos honoru przemawiający przez usta moje... zostań odstępcą świętej sprawy; niech wszędzie gdzie zwrócisz twe kroki towarzyszy ci straszny wyrzut sumienia i widma żołnierzy którzy ci śmierć swoją wyrzucać będą!...

Jan (wybucha głośnym łkaniem). O! Boże mój! Boże!

Hévrard. Ty cierpisz, Janie.

Jan. Piekielne cierpię męki.

Hévrard. Bądź mężnym i zapanój nad twoją rozpaczą! Może syn mój już nie żyje... a jednak ja nie płaczę!

Jan. Dobrze więc, pójdę walczyć skoro Bóg zezwala na takie potworności.

Hévrard. Słyszysz huk dział, patrz na te pożarne łuny błyszczące w oddali. Chaty dające przytułek kobietom i dzieciom, domy, pola i winnice, jedyna nadzieja zgłodniałego ludu, wszystko to pali się, marnieje i zamienia w gruzy!... Tam, daleko zobaczyłbyś tłumy z gorzkim płaczem opuszczające rodzinną ziemię! mord i pożoga szerzą się dokoła, pola i lasy zasłane trupami... wszędzie żałoba, śmierć, mord i strumienie krwi, od której niebo odbija czerwono... I jakaż boleść nie zmaleje, obok tego obrazu hańby i zniszczenia, jakie wojna szerzy dokoła?...

Jan. Ach! czemuż kreślisz mi tak straszny obraz?...

Hévrard. Czemu?... Dla miłości ojczyzny!..

(Zasłona spada).

(*d. n.*)

STRUMYCZEK.

PANNIE ANTONINIE J.........

Płynie strumyczek szemrzący,
Kwiaty i liście kąpiący,
Od skwaru je chroniąc, od znoju.

* * *

W jego zwierciadło srebrzyste,
Patrzy wciąż jasne i czyste
Niebo; pełne ciszy, pokoju.

* * *

Nie mąci się on, nie pieni,
Nie niszczy kwiatów, zieleni
I stuletnich drzew nie obala...

* * *

Wzbiera świeżymi zdrojami.
Płynąc wolnymi prądami,
Aż rzeczna zabierze go fala.

. . . .

Ty jeszcze życia nie znając,
A jeno prawdę kochając,
Już wiedzy żądasz z pragnieniem;

* * *

Więc nie burzliwym, niszczącym,
Lecz cichym wejdziesz, rzeźwiącym,
W dobro społeczne, strumieniem.

Henryk Kwiatkowski.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Rozdział XXXIX.

Klarka przez dzień cały po rozmowie z Frankiem, była niezmiernie rozdrażnioną. Czuła że młodzieniec wywarł na nią wrażenie jakiego nie przypuszczała nigdy, gniewało ją to a przewaga moralna której uległa oburzała. Starała się o nim nie myśléć, zapomniéć, mimo tego postać Franka stawała jéj ciągle w myśli, nie opuszczała jéj na chwilę, a słowa z taką godnością wyrzeczone brzęczały bez przerwy, których słuszności po części nie mogło zaprzeczyć. Klarka znała dobrze miłość Franka dla siebie, domyśliła się łatwo że wyjazd jego tak nagły z Warszawy, jest prostą ucieczką gdy stracił wszelką nadzieję wzajemności, ale spodziewała się więcéj traicznego rozwiązania głośnych oznak rozpaczy, łez, żalu i wszystkich podobnych szaleństw często w podobnych razach praktykowanych. Tu przeciwnie się stało; Franek nietylko z największym spokojem rozstawał się z nią, ale wytknął szkaradę postanowienia jéj co do Anzelma i wyraźnie powiedział, że nie znalazł takiéj któraby godną była zostać jego żoną. To już przechodziło, według jej zdania, granicę wszelkiego zuchwalstwa. Nie ona więc jego oddala ale on ją porzuca jako niegodną siebie, daje jéj to nawet do zrozumienia i to w chwili gdy uczuła pierwsze drgnienie przychylności. To okropność! Postanowiła zatem zemścić się, przyciągnąć, rozkochać, a raczej rozdmuchać na nowo miłość której zabić w sobie nie mógł zupełnie, a potém gdy to stanie się, gdy go ujrzy przy nogach swoich upokorzonego, błagającego, w łzach i rozpaczy rozpławionego, jedném skinieniem oddalić, jako człowieka widocznie obłąkanego, który mógł przypuścić że go pokochała i powzięła postanowienie zostania jego żoną.

Nie mogła jednak zrozumieć zmiany jaka zaszła we Franku a nade wszystko w jéj własném przekonaniu. Spostrzegła w nim urodną powierzchowność, której dawniéj nie widziała: szlachetność wyrażenia przedtem obcą mu zupełnie, rozumne myśli których nigdy nie przeczuwała. Zajęła ją szczególniéj ufność we własne siły, pewność o swoją przyszłość, lekceważenie nastręczających się korzyści i ten spokój wreszcie jaki okazywał przy rozstaniu się z nią raz na zawsze, choć była pewną że burza wre w jego sercu starannie ukrywana.

Zastanawiając się nad tem, mimowoli porównała go z Mieczysławem i Anzelmem, i jakże go wyższym od nich uznała. Każdy z nich w jéj przekonaniu, był niczem więcéj jak samolubem; Mieczysław niby kochał ale tylko z pewnością poprawienia swego losu, Anzelm także niby kocha, ale jedynie w widokach tak mu potrzebnéj domowéj opieki. Żaden z nich nic nie zrobił, coby stanowiło prawdziwą ofiarę, jeden tylko Franek kochał ją dla niéj saméj i ciągle składał dla niej ofiary, walcząc ze swoją prostotą, ze zdrożnemi skłonnościami, podnosząc się ciągle moralnie, i oddając całego siebie na jéj rozkazy.

— Jakaż to dzielna dusza! myślała sobie, jakiż hart prawdziwie męzki i siła woli tak rzadko spotykana na świecie! Pod opieką takiego człowieka można być spokojną o swoją przyszłość, a kochając nawet szczęśliwą.

Klarka zamyśliła się badając stan swego serca.

— Czyżbym go pokochała? zapytała sama siebie. Czuję tylko, że inaczéj go widzę teraz jak dawniéj: przedtem nie myślałam o nim nigdy, dziś nie mogę oderwać myśli od niego. Czyżby to była miłość? Miłość jak rozumni ludzie powiadają, to szał przelotny, mija prędko i tylko swęd pozostawia jak po zgasłej łojówce. Kto się nim rządzi popełnia niedorzeczność, bo nie słucha praw rozumu ale własnéj namiętności. Prawda że Frania dziś szczęśliwa, ala za lat kilka, za dziesięć, gdy się potrzeby zwiększą a dochody odpowiednio nie urosną, to co będzie? Czy nie pożałuje odepchniętego związku z Bonawenturą? To prawie pewne: stanowisko Anzelma o ileż jest świetniejsze... sowicie wynagradza wszystkie braki osobiste. Franek choćby zapracował się i ubogacił niczém więcéj nie będzie tylko prostym nadwiślakiem... a jednak... jaka szkoda że on nie jest Anzelmem!

Klarka zerwała się z siedzenia, rzuciła robotę którą była zajęta i zaczęła szybko chodzić po bawialni.

— Nie! zdaje mi się, szepnęła, że go kocham. Przeciwnie, nienawidzę... rzucił mi wzgardę... głupiec... Nie pojmuje że w ciężkiéj walce o byt... ah! Boże mój Boże, jakże jestem nieszczęśliwa! Ale dosyć tego, rozum powinien iść zawsze przodem, a wszystkie jakieś uczucia, kochania, miłoście, głupstwem niewartem nawet zastanowienia.

Na drugi dzień kiedy nadchodziła chwila przybycia Franka, Klarka ze szczególną troskliwością zajęła się przygotowaniem swego ubrania. Przeglądała się w lustrze, poprawiała, przemieniała, nie szło jej o wytworność w przystroju, ale o wdzięk którymby mogła Franka olśnić i przykuć do siebie. I zdobyła go: stała się wabną, ujmującą, uśmiech ożywiał jéj lica, w oczach widniało życie, na czole pogoda, tak że siedząc przy oknie zajęta robotą, nawet najwybredniejszego zwróciłaby uwagę.

Franek jakby zmówił się z nią lub przeczuwał zastanowione na siebie sidła, z równą troskliwością zajął się swoją powierzchownością. Wiedział, że między nim a tak przez niego ukochaną dziewicą skończyło się wszystko, że serca jej nie zdobył i nie zdobędzie, zapragnął więc z ostatnich chwil swego pobytu zostawić jak najkorzystniejsze wrażenie, żeby go zachowano w pamięci nietylko jako poczciwego Franka ale i młodzieńca nie pozbawionego zewnętrznych przymiotów.

— Może kiedyś, myślał sobie, pożałuje swego wyboru... ale to nie uczciwie pragnąć tego. Daj jéj Boże wszystko dobre.., z nią byłbym szczęśliwy, bardzo szczęśliwy... szkoda! Ale Bóg tak rozporządził, tak być musi dobrze i tego nic już nie przemieni.

Był zatem zupełnie przygotowany na stanowczy rozdział z Klarką, nie łudził się choćby najmniejszą nadzieją, ale nie rozpaczał, widział w tém wolę Bożą jak i zbliżenie się do niéj z tego samego wypływające źródła. Wypadek ten przyjmował z męzką prawdziwie odwagą: był smutnym ale nie rozstrojonym, na twarzy jaśniał wyraz powagi, silnego postanowienia i spokój wewnętrzny, co wszystko nadawało mu powab dla nikogo nie obojętny. Ubrawszy się, przejrzał się także w lusterku; tużurek dobrze odznaczał zgrabną i silną budowę ciała, kamizelka czarna ładnie odbijała od bielizny świecącéj białością. od szyi zwieszał się sznureczek jedwabny od zegarka utkwionego w kieszonce, a dla dopełnienia całości, poprawiwszy starannie włosy, nawdział na ręce świeże rękawiczki.

Kiedy wszedł do mieszkania Antonich, przy Klar-

ce zastał siedzącego Anzelma: w pierwszej chwili zmieszał się cokolwiek, ale wprędce uspokoił się i przywitał wszystkich z przyzwoitem uszanowaniem. Klarka spostrzegła to, ucieszyła się zrobionem wrażeniem i z uśmiechem najprzyjaźniejszym zrobiła mu wyrzut opóźnienia przybycia.

Potém zawiązała się rozmowa o uporze męzkim, o ich dziwactwie, o zamierzonej podróży Franka i o Płocku do którego się wybierał. Klarka była ciekawą bliższych szczegółów o tym starożytnym grodzie, Anzelm, jak mógł dawał jéj odpowiednie objaśnienia, a choć były one niedokładne i właściwie nic nie objaśniały, podziękowała mu jednak niewymownie podnosząc jego wiadomości jako człowieka któremu w rozumie mało kto wyrówna. Potém zwróciła się do Franka, zachęcając go żeby starał się Płock poznać i z pewnym rodzajem poważnego mentorstwa zrobiła uwagę, o pożyteczności nauki i nieszczęściu ciemnoty umysłowéj.

— Płocka nie znam i nigdy w nim nie byłem, odrzekł Franek, ale czytałem o nim dosyć i wiem że to jest miasto jedno z najdawniejszych, znanem nawet za czasów pogaństwa. Powiadają że katedra wzniesiona była przez króla Mieczysława co przyjął chrześciaństwo; że Płock był bardzo rozległem miastem, że w nim często przebywał król Władysław Herman i syn jego Bolesław Krzywousty, że tu nawet oba umarli i zostali pochowani. Był tam i zamek przez Kazimierza Wielkiego obwarowany, ale wojny ze Szwedami wszystko zniszczyły i została z niego tylko stara baszta. Jak będę w Płocku wszystko to obejrzę i wywiem się różnych szczegółów z dawnych lat jego.

Przez czas tego opowiadania, Anzelm potakiwał, Klarka słuchała i nie mogła się nadziwić wielkiej uczoności Franka. Był to jednak tylko wypadek że trafiono na miejscowość poznaną przez niego z opisu. Znał ich więcéj podobnie, ale bez porównania więcéj było takich o których nie miał najmniejszego wyobrażenia. Zawsze dowiódł tém, że lubi czytać i to co przeczyta zapamięta, a nawet że choćby tylko co do Płocka, Franek więcéj wiedział nawet od Anzelma: Zakorciło ją to troszkę, nawet zabolało. Wyższości uznanej przez siebie niełatwo się ustępuje, wiedząc więc że Anzelm dosyć czyta i jest niejako w rozwoju bieżącéj literatury, rozpoczęła z nim natychmiast odpowiednią rozmowę, łatając się wiadomościami od Mieczysława niegdyś pozbieranemi.

Franek słuchał i milczał ale wszystko notował w pamięci; mówiono o teatrze, o nowych sztukach i pisarzach dramatycznych, o ich wpływie na społeczność, a gdy Klarka zwróciła się do Franka z zapytaniem jak dawno był w teatrze, odrzekł z największą prostotą:

— W teatrze nie bywam bo to zabawa zbyt kosztowna, ale czytałem komedye wydawane przez Jasińskiego, to przyznam się państwu że tam nic nie znalazłem takiego coby mogło czegoś nauczyć. Same tylko kochania i kochania jakby ludzie nic więcej nie robili tylko się kochali.

Klara zlękła się, czy Franek nie skręci do stosunku z Anzelmem, ale nie zrobił tego: wczoraj był wzburzony, musiał więc wygadać co czuje, dziś uspokojony zupełnie nie czuł ani zazdrości ani niechęci. Kiedy Anzelm rozwodził się nad dramatami Szekspira, wychwalając w nich piękność poetyczną, Franek objawił żal że nie wpadły mu w ręce, że postara się bliżéj z niemi zapoznać. Dodał przytem że troszkę czytał komedye Fredry i że te mu się bardzo podobały, gdyż zdawało się mu że osoby do niéj wchodzące zna należycie. Wspomniał przytem o znanym nam Kubusiu czeladniku tokarskim ze sceny samobójstwa odegranéj w cukierni na, górce którego zapał do sztuki dramatycznéj prawie do obłąkania doprowadził.

— Należąc do rzemieślników teatralnych, mówił daléj, tak sobie upodobał w teatrze, że na każdém prawie przedstawieniu musi się znajdować i tym sposobem wyuczył się wielu ustępów, które chętnie powtarza we wszystkich miejscach publicznych, szczególniej gdy widzów ma dosyć a głowę cokolwiek trunkiem odurzoną. Zaopatrzony w różne przybory teatralne, w maski, kaski, sztylety i noże, posługuje się niemi bardzo zręcznie i tak odgrywa przedstawiane role, że nieraz i uśmiać się można i przerazić. Dobry to chłopak i bardzo poczciwy, ale zmarnuje się i nic z niego już nie będzie. Nagadałem mu nieraz, żeby porzucił trunek i bałamuctwo, oszczędzał i pomyślał o własnym warsztacie, bo tokarz z niego zdolny. Przyrzekał że to zrobi, ale w sobotę po odebraniu zarobku zapominał o przyrzeczeniu i zaraz rozpoczynał hulankę, którą najczęściej kończył w poniedziałek. Od niego to dostałem do przeczytania tragedyą przetłomaczoną przez Osińskiego; pod tytułem Horacyusze i Kuriacyusze, i nie mogłem się jéj dosyć naczytać. Takich dzielnych bohaterów teraz nie ma. *)

Anzelm znał Osińskiego osobiście i słuchał wykładów jego z historyi literatury polskiéj w uniwersytecie warszawskim przed rokiem 1830. Ztąd wywiązała się rozmowa o wpływie zbawiennym zakładów wyższych naukowych, o szkołach, oświacie wreszcie literaturze bieżącéj w którą Anzelm dość był wtajemniczony. Franek słuchał tego z niezmierném zajęciem, a gdy rozmowa trochę przycichła rzekł:

— Poczciwy Kubuś ogromnie żałował, że nie był w szkołach; często z tego rozpaczał i w końcu rozhultaił się. Ja sam że szkoły nie przeszedłem tego odżałować nie mogę i kiedy pomyślę o tem, tak się złoszczę i gniewam sam w sobie, że się potém długo uspokoić nie mogę. To jest niegodziwość, nieuczciwość, nawet bezbożność tylu ludzi zostawiać bez żadnej nauki i nie starać się wyprowadzić ich z ciemności.

— Zapewne, potwierdził Anzelm, dałeś sobie jednak radę panie Franciszku i czytaniem wynagrodziłeś brak szkolnéj nauki.

— To prawda panie sędzio, odparł Franek, ale to stało się wypadkiem. Nauczyłem się czytać i pisać sam nie wiedząc jak i kiedy, późniéj kiedym szedł w lata, czytałem jeźli mi książka wpadła w rękę, jak jéj nie miałem to do niéj nie tęskniłem i czas wolny schodził mi różnie. Późniéj nieszczęścia dały mi wiele do myślenia, przyjrzałem się sam sobie i wziąłem się do książki. Czytałem i czytam co tylko mogę i ile mam tylko czasu, codzień dowiem się coś nowego ale codzień widzę jaśniéj, że choćbym nie wiem jak już wiele czytał, nie dojdę do tego czego pragnę. To przekonanie proszę pana sędziego, często mnie do rozpaczy doprowadza zwłaszcza że nieraz zdarzy mi się słyszéć dowodzenia tak dziwne, tak bezbożne, o początku świata, o człowieku, że jak w proch się obróci to wszystko z nim kończy się, a ja choć czuję że to nieprawda nie umiem na to jak przynależy odpowiedzieć. Niechby tam sobie wreszcie i gadali ale dla czegóż gadają tak żeby ich wszyscy słyszeli? Mowa ich to jak zaraza, szerzy się łatwo a co nieszczęścia przez to, aż strach. Napatrzyłem się tego dosyć i ludzie dziwią się, że złodziei i zabójców coraz więcej przybywa!

*) Szczegóły przytaczane o Kubusiu wszystkie są prawdziwe jak i postać jego niezmyślona. Autor znał go osobiście, rozmawiał z nim nieraz i przypatrywał się scenom przez niego przedstawianym. Dziś prawdopodobnie młodzieniec ten nie żyje.

Skutkiem tych uwag rozwinęła się rozmowa bardzo poważna, o pozytywizmie, o pysze rozumu ludzkiego, o dowodach naukowych przytaczanych przez materyalistów, a choć Anzelm wystąpił tu ze znajomością przedmiotu tak wielką, że Franka wiadomości niczem się okazały, samo jednak zajęcie się jego kwestyą tak zawiłą, zapytania jakie robił i pilne słuchanie dawanych sobie objaśnień, jasno dowodziły, że sam przedmiot aczkolwiek tak głęboki, dobrze pojmuje i nad nim rozsądnie zastanawia się. Przytem wykazał że i wiadomości z nauk przyrodzonych i astronomii nie są mu obce.

— Czytałem, rzekł, bibliotekę popularną o różnych naukach. Najbardziéj mi się podobało o gwiazdach, planetach, kometach i tych przestrzeniach straszných w których się mieści. Kiedym to czytał, zdawało mi się że duchem moim wznoszę się w te wyżyny niepojęte, że bujam w nich i że co chwila dojrzę samego Boga otoczonego chórem archaniołów. A jednak ludzie są tak głupi, że utrzymują iż nie ma Boga! Bezbożnicy ale i nieszczęśliwi! Ja Boga widzę wszędzie i w sobie i koło siebie we wszystkiem na co spojrzę i tak mnie to raduje, tak cieszy że nawet nie umiem tego wypowiedzieć. Oni nie mają tej pociechy, i jak dawni bałwochwalcy pieniądz zrobili Bogiem i tylko do niego ręce wyciągają, nie myśląc nawet o duszy którą czeka żywot wieczny.

W rozmowie nie brakło i przytaczań naukowych przeciw materyalistom: Anzelm posiadał ich dosyć ale bez ścisłości naukowéj, Franek mniéj ale gruntowniéj i zawsze więcéj od Klarki która tylko nadrabiała miną, że rozmowa ją bardzo zajmuje i szczegóły w niéj nie są jéj obce. To samo miało miejsce i w dalszéj rozprawie o pismach peryodycznych i książkach: Anzelm dowodził a Franek słuchał: Anzelm mówił o dziełach jakich Franek nie znał, a ten znów o takich które jako powyciągane z różnych dziur całego świata, były dla Anzelma prawie obcemi. Klarkę wszystko to dziwiło i różne obudzało myśli: spoglądała to na Anzelma to na Franka i mimowoli przyznawała w duchu, że Franek więcéj wié od niéj, o wszystkiém rozsądnie dowodzi, a jednak ani razu nie okazał zarozumienia będącego u Mieczysława chlebem powszednim.

— Czyż więc byłby od niego rozumniejszym? pomyślała..

Kiedy Anzelm ujęty skromnością młodzieńca i tak szczerym zapałem do nauki wynurzył żal, że Franek nie obrał sobie stałego zajęcia przyszłość zabezpieczającego, Franek wzruszył ramionami i odrzekł:

— Nie żałuję tego i choćbym się jeszcze raz urodził, to nie chciałbym być niczém innym tylko nadwiślakiem. Wisłę kocham jakby żyjącą osobę, przy niéj wychowałem się i wzrosłem, dawniéj wpatrując się w jéj fale roiło się mi w głowie Bóg wie nie co, widziałem unoszące się na niéj syreny, wróżki i topielnice, dziś wiem że to było tylko rojenie, baśnie ludzkie, a jednak lubię się wpatrywać w naszą rzekę ukochaną kiedy niby wąż wije się w dolinie i warczy cicho na głupotę ludzką. Przy niéj panie sędzio, mówił daléj z ożywiającym się zapałem, zdaje mi się że mam skrzydła i mogę latać gdzie mi się podoba i gdyby nie wiem co, nie dałbym się od niéj oderwać. Prawda że być urzędnikiem, godność to wielka, ale ja umarłbym z tęsknoty, gdyby mnie zamknięto w pokoju i kazano pracować. Rzemieślnikowi, kupcowi zajęcie chléb daje, ale ciągle mieć do czynienia tylko z heblem, młotem lub handlarstwem, to prawie do obłędu może doprowadzić. Przy Wiśle inaczéj. W lecie ciągły ruch i coś nowego, po marszczeniu się wody poznaję gdzie zwir na spodzie, tu pilnuję wędek, tam podrywki, przewożę łódkami albo posługuję, a już naj-

piękniéjsza rzecz łewienie jesiotrów. Głupia to ryba choć wielka i niezmiernie silna w ogonie, czasami jednak pokazuje że i ona myśli. Dawniéj przez całą Wisłę bito pal przy palu od brzegu do brzegu, tylko środkiem w samém korycie ustawiano wysokie gięte wicie, aby uginały się przy przepływie galarów. Głupie jesiotry dopłynąwszy do pali już daléj iść nie mogły, szukały więc wyjścia i zbliżywszy się do wici nie śmiały ich przepłynąć bo bały się zasadzki. Ale jeżeli zobaczyły że wierzchem przechodzi jaki statek, berlinka, dubas lub galar, i wicie pod niemi uginały się, hurmem ruszały za płynącym statkiem i tym sposobem unikały niebezpieczeństwa. Dziś nie wolno pali wbijać w Wiśle, bo się statki na nich rozbijały, łowią więc jesiotry siecią którą zastawiają przez całą szerokość. Najprzód idzie sieć z wielkiemi oczami, tak że przez nie jesiotr łeb może przesunąć: tuż prawie przy niéj znajduje się druga z mniéjszemi daleko otworami, jesiotr więc wetknąwszy w nie głowę i czując że daléj z nią nie pójdzie, chce się cofnąć i wtedy mota się, zaczyna się rzucać, wyskakiwać, sieć drga, trzęsie się, woda bałwani, a rybacy podpływają z dwóch stron, ale bardzo ostrożnie, starają się złowionego dźwignąć po nad wodę, i gdy to się im uda, jeden z rybaków zachodzi mu od głowy, chwyta za skrzele; siada na grzbiecie, przewleka sznur i jesiotr odrazu staje się pokorny jak baranek. Trzeba tu jednak wielkiéj zwinności i zręczności, bo inaczéj można pójść na dno dobrze ogłuszony uderzeniami ogona i już z niego nie wydobyć się. Mnie się to raz zdarzyło, ale odrazu puściłem się nura w stronę od głowy i tym sposobem ocalałem. Płatnął mnie wprawdzie po nogach od samych bioder, ale nie przetrącił żadnéj kości tylko zasinił ciało.

— Wybornie panie Franciszku, odezwał się Anzelm, opis twój walki z jesiotrem tak był malowniczy, z takim wypowiedziałeś go zapałem, że słuchając cię, zdało mi się jakbym był przytomny łowom wiślanego olbrzyma. Zapał podobny w młodym człowieku wart pochwały i uznania.

— Dziękuję panu sędziemu, odrzekł Franek, ale nie lubię szlamazarstwa! Co człowiek robi to wszystko robić powinien z zapałem.

— Wuj, odezwała się Mikłocka prostując się i sznurując usta, to zawsze powiadał, że pan Hes, z wielkim zapałem rzucał oczami na białe fartuszki panien z garderoby.

Podano herbatę i przekąski: Franek bardzo niewiele korzystał z poczęstunku, o tyle tylko o ile mu Frania lub Antoni włożyli na talerzyk. Jakże się i pod tym względem różnił od Mieczysława! Wprawdzie całe obejście jego nie miało potrzebnéj swobody, znać było że pilną ciągle dawał na siebie uwagę, troszkę był sztywny, nieśmiały, ale nic nie popełnił coby bezwarunkowo zasługiwało na naganę. Klarka zajęta była wyłącznie Anzelmem, nie z rażącym jednak nadskokiem, jak to dawniéj miewało miéjsce, ale z uprzejmością właściwą dobrze wychowanéj osoby. Choć siedziała przy Anzelmie i starała się bawić go rozmową, znać jednak było pewien przymus w całém jéj postępowaniu, chwilowe zamyślanie się, roztargnienie, co nawet zwróciło uwagę Anzelma gdyż spytał się, czy przypadkiem głowa ją nie boli.

Franek siedział po drugiéj stronie stołu zajęty rozmową z Antonim, przerzucał spojrzenie ku Klarce, wpatrywał się w nią, nadsłuchiwał pilnie co mówi z Anzelmem i równie był czasem zamyślony i roztargniony. Jeżeli zaś przypadkiem oczy ich spotkały się z sobą, Franek zdawał się badać ją, Klarka uwielbiać, i jeżeli młodzieniec z żalem odwracał od niéj spojrzenie, dziewica z wyraźnym przymusem zwracała się do swego sąsiada.

Anzelm wydobył cygara i chciał jedno ofiarować Frankowi, odmówił przyjęcia powiadając że nie pali.

— Wyrzekłem się wszystkiego, rzekł, bez czego można się obejść i dobrze mi z tem. Czytałem opis życia Beniamina Franklina i z niego wiele się nauczyłem. Rozumny to był bardzo człowiek, radbym go we wszystkiem naśladować a choć tém nie będę czem on został, nic na tém nie stracę a wiele zyskam.

— Ten młody człowiek, odezwał się Anzelm przyciszonym głosem do Klarki, to bardzo dzielny i rozsądny młodzieniec. Szanuję go już dzisiaj, czem jest wszystko, winien sam sobie, jakżeby mógł pójść wysoko gdyby odebrał odpowiednie wykształcenie. Strata to wielka dla ogółu: marnotrawstwo zdolności wrodzonych niedarowane, wynikające jedynie z fałszywego kierunku opieki rozciągającéj się głównie do warstw najmniéj licznych. Pod niemi znajdują się miliony, prawie opuszczone; zupełnie zaniedbane, jak na wsi u złego gospodarza, który uprawia tylko ogród i polanki do niego dotykające, klepie biedę, męczy się, kłopocze, a zapomina o obszarach pól mogących troski jego w pomyślność zamienić. Nieoględność to bardzo naganna, przy końcu jéj pewne bankructwo.

Wreszcie goście rozeszli się: Franek ze smutkiem żegnał się z przyjazną dla siebie rodziną oświadczając że jutro rano wyjeżdża z Warszawy. Klarka chciała przemówić ale ją wyręczyła Frania z mężem, zapraszając koniecznie aby ich jeszcze przed samym wyjazdem odwiedził. Franek wzbraniał się tłomacząc się brakiem czasu, ale nalegany przyrzekł że choć na kilka minut wpadnie jeszcze na pożegnanie.

(d. n.)

Wspomnienia z podróży po kraju Basków

i obrazy

z czasów ostatniéj wojny domowéj Hiszpańskiéj

z francuzkiego

PRZEZ ALBINĘ PIOTROWSKĄ.

I.

Niegdyś królestwo Nawarry, obecnie prowincya Hiszpanii, różnorodném a malowniczém położeniem swojém, jak niemniéj ogniskiem krwawych zapasów w ostatniéj wojnie domowéj, zaciekawia zarówno badacza natury jak i miłośnika historyi.

Kraj ten, do którego przybywa się z Francyi mostem granicznym Dancharinei, w pogodnym dniu wiosny, ożywionéj promieniami słońca, coraz to nowe przedstawia obrazy.

Wśród rozległych płaszczyzn porozrzucane góry coraz liczniéj zalegają przestrzeń, w któréj formując dla oka jakby mur poprzeczny, zasłaniają z téj strony Pirenee i tworzą w oddali wspaniały amfiteatr urozmaicony zielonością uprawnych pól i pagórkami, jakby przedrzeźniającemi wyniosłym górom pokrytym lasem, kolącemi krzewami, lub paprocią, a wreszcie niknącym w obłokach urwistych cypli krętych skał, pokrytych śniegiem który pod blaskiem słońca połyska jakby kryształem.

Śliczna ta okolica, ożywczą świeżością i miłym spokojem zachwyca wędrowca, nie trudząc go, gdyż drogi wszystkie są tu bardzo dobrze utrzymane.

Pobrzeża rzeki Baztan, zalegają stada merynosów obciążonych miękką i do saméj ziemi spadającą wełną — gromady bydła przepędzają weseli pastuszkowie, którzy przygrywkami swojemi umilają okolicę.

Ukazująca się wreszcie kopuła czworobocznéj wieży, zwiastuje nieodległe miasto *Elizondo*.

Przedmieście jego, jakoteż i samo miasto ma domy starożytne, ścieśnione, z kamienia czerwonego jaki okolicę tę odznacza — kolor jego ma pozór barwy krwistej, lub odbicia łuny pożaru, a przy okratowanych oknach i ciężkich dachach domów wpływa wiele na ponurość miasta. Ulice wązkie brukowane małemi toczonemi kamykami, osadzonemi końcem do spodu, trotoary zaś z kamieni płaskich. Przedmieście przerzyna płynąca odnoga Baztanu, która zdaje się przyczyniać do czystości, ale w czasie pory dżdżystej i śniegów, Baztan wzbiera wysoko, podchodzi w ulicach pod same domy i czekać długo potrzeba zanim promienie słońca, osuszą przecie te pleśnią pozieleniałe mury.

Od pierwszéj wojny domowéj Elizondo zdobywane i odbierane, służyło na przemian za główną kwaterę stronom walczącym, o ile główniejsze działania wojenne nie posunęły się daléj. Miasto to pozostało wierne swoim przekonaniom anti-liberalnym, i właśnie téż oddział wojska ówcześnie tam stojącego, był bardzo niechętnie widziany przez wszystkie klasy ludności, która nie szczędziła mu otwartych oznak nieprzyjaźni.

Domy Basków czy to odosobnione po górach, czy więcéj nagromadzone po wsiach lub miastach, są po większéj części stawiane na jeden sposób; formują zwykle doskonały kwadrat architektury nie poważnéj, ale odznaczają się mocą i trwałością. Są zazwyczaj jedno piętrowe, i mają wszystkie pokoje bardzo obszerne w kształcie regularnego czworokąta, a zawsze z głównym salonem przy którym muszą być dwie alkowy. Bardzo często spotyka się podłogi popsute, ściany kostropate, belki okopcone, meble nawet czarne z użycia i starości. Mieszkańcy zajmują tylko lokale piętrowe, a dół cały służy zwykle na pomieszczenie rozlicznych dobytków gospodarski. Aby dostać się do schodów prowadzących na piętro, potrzeba przejść przez całe stajnie, zkąd wejście do sieni, a z niéj do korytarzy z których jeden prowadzi do owego głównego salonu a drugi do kuchni.

Pomimo obojętności i lekceważenia estetyki wewnętrznej, każdy dom najnędzniejszy nawet, ozdobiony jest jednym, a często dwoma herbami zewnątrz nade drzwiami lub na rogu muru frontowego, gdyż u Basków każde individuum chełpi się okazem swojego stopnia genealogicznego. Te tarcze herbowe przybierają kształty i wymiary najrozmaitsze, jedne są roboty prostéj, grubej; inne wykwintne sztucznie wyrobione, z dewizami lwów, lampartów, dzików, jednorożców, głów maurów lub rąk pokrwawionych, a wreszcie krzyżujących się szpad, to wszystko zaś w takim nieładzie, że nawet bystrość Starego Hozier narażiłaby się na zawód. Wystawianie tych tarcz jest zarazem przypomnieniem sławniejszych zdarzeń rodziny lub kraju, jak świadczy o tem następujący historyczny ustęp.

Podczas wojny którą prowadził Sanche le Fort król Nawarry przeciwko Emirowi Mohamed-el Naso a zakończonej świetném zwycięztwem pod wodzą de las Nowas de Tolosa, batalion złożony z saméj okolicznéj ludności Baztanu dla rozerwania nudów grał w karty. Nagle z powodu zjawienia się nieprzyjaciela pod samym obozem, powstaje alarm, nie było więc czasu do stracenia — żołnierze porzucają w jednéj chwili zabawę, biegną z całym zapałem na Saracenów i nie wcześniéj wracają aż po zupełnym pogromie ściganego nieprzyjaciela.

Król don Sanche zachwycony odwagą i energią swoich żołnierzy, dał tym walecznym warcabnicę za herb, który potomkowie z dumą dotąd przechowują, czego są dowody w Almandoz i Oyeregui, a nawet w niektórych wsiach na dolinie.

Delikatność i miłość rodzinna pomiędzy tymi góralami jest nader wzruszającą i tak: jeżeli który z członków familii umiera, mieszkanie w którém nieboszczyk żył i życie zakończył, pokryte jest żałobą przez rok cały, jak również i herb odziany czarną krepą.

Cała dolina Baztanu jest obrazem Nawarry. Aby się dostać do środka téj prowincyi, potrzeba przebyć port Velate.

Przy wysiadaniu około Soramen po raz pierwszy ujrzałem pracujących w polu z Layą. Jest to narzędzie rolnicze właściwe krajowi Basków, gdzie położenie ról spadziste, natura gruntu twarda i gliniana, nadto małe przestrzenie części zdolnych do uprawy, są powodem niemożności użycia pługa.

Laya jest to rodzaj wideł żelaznych o dwóch prostych prętach, długich około 30 centimetrów, umieszczonych prostopadle i spojonych listwą poprzeczną: rączka zamiast w środku znajduje się na boku. Każdy z robotników ma w użyciu dwa takie narzędzia, w każdéj ręce po jedném i wbijając je w grunt staje jedną nogą na każdém z nich, naciskiem swojego ciężaru zagłębia je, a następnie zeskakując w tył, z nadzwyczajnem wysileniem przewraca bryłę w taki sposób oderwanej ziemi. Jest to najcięższa praca, a jednak kobiety nawet dzieci biorą w niéj udział, lecz najczęściéj sąsiedzi zbierają się w kilku, pomagają sobie wzajemnie, a robota tym sposobem postępuje prędzéj i lepiéj.

Następnie przybywa się do miasta Villawa. Składa się ono z jednéj tylko wązkiéj ulicy, ciągnącéj się wzdłuż drogi. Dachy domów wielkie i tak wystające że formują niejako nakrycie po nad szosą — niektóre domy strojne doborem i mnogością kwiatów, ozdobami snycerskiemi, medalionami, lub najbajeczniejszych kształtów potworami. Była to epoka w któréj Hiszpania bogata złotem Nowéj Ziemi niezaprzeczona pani połowy Europy, zbierała sztuki piękne, by świadczyć o swych dostatkach i zdobić niemi pałace.

Miasto to obecnie znajduje się w położeniu bardzo opłakaném, gdyż na 4 mile w okrąg nie mając punktu obronnego, w czasie wojen Karlistowskich wiele ucierpiało, przytém z powierzchowności swojéj dużo utraciło z powodu kwaterujących wojsk, które nie oszczędzały pięknych balustrad ani zdobnych i delikatnych rzeźb.

Minąwszy to miasto, które spustoszeniem swojém przykre robi wrażenie, wyjeżdża się na obszerną płaszczyznę, otoczoną wysokiemi ogołoconemi górami, których spadzistość zasłania lekka mgła. Nie znam położenia więcéj malowniczego, kompletniejszej panoramy. a w głębi téj płaszczyzny dostrzegać się daje Pampeluna z licznemi dzwonnicami zwiększającemi przecudny widok. Poniżéj rzeka Arga z podwójnym rzędem topoli znaczących jéj kręty bieg, po za temi pola okryte zbożem, przeplatane w różnych odległościach budowlami gospodarczemi, lub zieleniejącym kioskiem.

Drogi prowadzące ku miastu, tworzyły niegdyś najpiękniejsze alee, ale wojna zostawiła ślady swoje, wszystkie prawie drzewa pościnane. Municypalność zajmuje się obecnie przyprowadzeniem do stanu dawniejszéj okazałości.

Wjeżdża się do Pampeluny drogą krętą, przez most co wieczór zwodzony.

W stosunku do innych miast ścieśnionych Pampeluna odznacza się rozległością, ulice szczególniéj w części nowéj są szerokie, domy powszechnie stawiane z cegły, mają pozór dobrobytu i czystości.

Dwa miejsca spacerowe wewnątrz miasta wzdłuż szańców są urządzone — z których tak zwany Taconera najpiękniéj ocieniony okazałemi drzewami: gdzie każdego wieczoru ludność miejscowa licznie się zbiera. Młode panie i panienki o wielkich czarnych oczach, przechodzą małemi grupami, zalotne, swawolne, ufne w swoje wdzięki, strojnie przybrane, ożywiają bardzo ten ulubiony spacer. Według zwyczaju hiszpańskiego mężczyźni nie prowadzą pod rękę dam, idą po za niemi, lub przy boku, śmieją się, rozmawiają głośno ze swobodą zupełnie południową.

Długi czas królowie Nawarry nie używali innego tytułu nad królów Pampeluny — zresztą miasto zachowało mało pamiątek z czasu kiedy było stolicą tego silnego królestwa. Katedra zbudowana przez Karola Szlachetnego, jest struktury czysto gotyckiéj. Ciężka facyata gmachu, złożona z kolumn Korynckich, i z frontonu trójkątnego, szpeci wejście — dwie zaś wieże odznaczające się symetryą, szczególniéj na drodze z Villava sprawiają piękny efekt.

Przeszedłszy bramę olśniewa oko wiele okazałości. Klasztor nadewszystko, ten annex niezbędny bazylik hiszpańskich, wprowadza w zdumienie, nie tyle ogromem swoim, ile harmonią proporcyi, delikatnością wykończeń w najtrudniejszych odcieniach żyłek, gładkością zaokrągleń. Idąc przez kościół spostrzega się po prawéj stronie drzwi, które są arcydziełem, całe z kamienia cudownie rzeźbionego.

W pośrodku klasztoru znajduje się niewielki ogród zupełnie zapuszczony, kwiaty i krzewy zdziczałe wikłają się w nieładzie, a pnące się rośliny roztaczają swoje silne łodygi około kolumn, zajmują znaczną wysokość, podchodzą aż do kapitolu. Trawa gęsta i zielsko pokrywają alee — w jednym z rogów ogrodu osamotniony cyprys, współczesny starym prałatom, którzy obok pod niebieskiem spoczywają sklepieniem, przy ich zimném łożu z kamienia, wznosi melancholicznie swoją posępną głowę i swój pień ogołocony. Mimo woli jest się wzruszonym, to opuszczenie, ten spokój, ta świeżość sama która panuje w tym zachyłku grobowym, przejmuje do głębi i zdaje się wzywać duszę do kornéj modlitwy.

Wchodząc do kościoła odmiennego doznajesz wrażenia w zakrystyi kanoników, których przy zwiedzaniu kościołów hiszpańskich nigdy pomijać nie należy. Pampelուńska może służyć za wzór elegancyi i wygody: ściany pokryte są ponsowym adamaszkiem, świetne malowidła zdobią sklepienie, poniżéj obrazy starożytne treści religijnéj, wszędzie zwierciadła, sztuka, złocenia, śliczne stoliki Ludwika XV u dołu fantastycznie skręcone, z wierzchu marmurowe, poustawiane w każdym kącie — w pewnéj zaś wklęsłości obszerny stół z ciemnego marmuru, z miednicą zaopatrzoną w dwie rurki mosiężne, nieodłączne w obrzędach kościelnych.

Przy wejściu na prawo spostrzega się portret znacznych rozmiarów jednego z prałatów, który w ostatnim stuleciu, kazał zbudować i ubrać tę salę swoim kosztem: okazały napis przypomina przymioty i cnoty znakomitych duchownych.

Po katedrze z klasztorem zasługuje na uwagę Instytucya zwana Vinculo, która założenie swoje datuje od roku 1527 — w czasie tym straszny głód wyniszczał peryodycznie Półwysep. Zarząd municypalny Pampeluny uprojektował poświęcić dziesięć tysięcy funtów monety Nawarskiej, na zakupienie ziarna, które w czasach najkrytyczniejszych zamierzono sprzedawać ludowi, późniéj jednak zaprowadzono wypiek chleba, na co otrzymano wyłączny przywilej a nikomu innemu niewolno było prowadzić téj profesyi w mieście. Wyłączność ta trwała do roku 1836 w którym sprzedaż chleba była już innym piekarzom dozwoloną, lecz Vinculo miało władzę podwyższać i zniżać ceny. Przy takiem dobrodziejstwie doszli do możności wybudowania przy drogach spacerowych okazałego zakładu, w którym chléb, przy zastosowaniu udoskonaleń nowoczesnych jest tam o wiele lepszy. Rodziny chcące użytkować z Vinculo dostarczają pewną ilość hektolitrów zboża i w proporcyi odbierają chléb który nie przestaje być o wiele lepszy od gdzieindziéj wypiekanego.

Troskliwość municypalna nie ograniczyła się na tem, artykuły żywności wszelkiego rodzaju, przeznaczone na potrzebę publiczną, są z całą dokładnością i akuratnością dozorowane. Na targu przytykającym do Ratusza panuje nadzwyczajny porządek i czystość. Każdy kupujący ma prawo sprawdzać swoje kupno na wagach publicznych — nadto municypalność zajmuje na własność miejsce na targu dla przedmiotów najpierwszych potrzeb, na które kładzie najsłuszniejsze ceny. Nic więc nie obchodzi ludność, gdy kupcy w zjednoczeniu lub szczegółowo przeceniają swoje towary, publika zaopatruje się w takowe w sklepach municypalnych.

Pampeluna jako stolica a do tego obronna stawała się coraz pożądańszą dla Karlistów, ale nie byli oni dość silni po téj stronie; brakowało im artyleryi oblężniczéj i musieli poprzestawać na blokowaniu.

Chociaż miasto stawiało czoło pretendentowi, nie należy z tego wnosić by cała ludność jednych była dążeń — tu jak i po całéj Nawarze Karliści stanowią większość. Jakże się zdziwiłem widząc różnicę w zachowaniu się pań i młodych dziewcząt względem oficerów karlistowskich, od poprzednio gdzieindziéj napotykanych obchodzeń się z nimi. Kobiety jawnie nie szczędzą pochwał, tym jak nazywają pięknym wygalonowanym husarom książęcym w ich niebiesko-białych mundurach, dowodząc że lepiej żyć w zgodzie, jak zasypiać nieprzyjaciółmi.

Nie utrzymuję by płeć piękna była usposobioną posunąć się tak daleko jak niegdyś Judyta z Holofernesem w interesie ludu Bożego, ale ściśle biorąc nie znajdziesz i dziesięciu kobiet, któreby nie miały zacofanych przekonań. i w skrytości nie pracowały na rzecz don Karlosa.

Podczas oblężenia ludność wynosiła od szesnastu do dwudziestu tysięcy dusz, większa część młodych ludzi służyła w innej armii, wiele familii usunęło się do miast zajętych przez Karlistów, a pomiędzy pozostałemi nie jeden był podejrzywany o utrzymywanie stosunków poza miastem. Garnizon wynosił zaledwie tysiąc ludzi, złożony z jednego niekompletnego batalionu rezerwy z Kadyxu, nieszczęśliwi Andaluzyanie marli z zimna pod tem niełaskawem dlań niebem. Na Liberałach miasta uorganizowanych w milicyą, polegał na wszystkie strony obowiązek działalności. Pierwsze usiłowania generała Morionés względem zaopatrzenia się w żywność, zaledwie w połowie się udały. Człowiek czynu, śmiały, zręczny, choćby pobity ale nigdy nie zniechęcony, Domingo Morionés posiadał tak nad wojskiem, jak i nad ludem wielką przewagę. Znano go z jego opinii czysto republikańskich. Skompromitowany z wielu innymi za czasów Izabelli, był przymuszony podać się do dymisyi. Rewolucya powróciła mu oręż.

W czasie przerwy, jak utrzymują, dla zajęcia wolnego czasu, pracował nad swoim krajem rodzinnym Nawarrą, tą ziemią klasyczną w podejściach

i zasadzkach, zarówno łaskawą operacyom kontrabandzistów, jak i wojnom partyzanckim.

Walcząc z przeciwnikiem swoim dowódzcą Karlistów Mendiry, nieoszacowaną posiadał znajomość szachownicy na których odbywał działania wojenne. On to, w czasie regencyi Prima, nagle wyparł don Karlosa z Oroquieta, i swojem silnem natarciem położył koniec pierwszemu powstaniu Karlistów. On to także później na północy, spotkawszy się z nieprzyjacielem dumnym ze swego powodzenia telegrafował do Rządu Madryckiego „ nie mam ani pieniędzy ani żołnierzy, ale wszystko co zrobić można z niczego, zrobię.“

Przy końcu miesiąca stycznia, 1875 roku zwodząc Mendivego, który go oczekiwał ciągle w swojem groźnem stanowisku w Carascal, zwraca się na południe, ciągnie na drogę Sangüesa, wykręca się nareszcie ku północy, i wchodzi bez dania strzału do Pampeluny. Był jeszcze czas dzięki Vinculo, miano jeszcze chléb, ale groźny tyfus poczynał się szerzyć. Karliści oszukani, cofnęli się ku Estelli którą już byli zajęli więcej od roku.

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

Obraz wewnętrznego życia Hiszpanii jest z wielu względów nauczającym: uwydatnia bowiem smutne następstwa do jakich prowadzi błędna polityka, dążąca niby do wzmocnienia narodu a sprowadzająca jak największe osłabienie. Prawodawcy hiszpańscy uważali za szczyt szczęścia i potęgi jedność narodową, polityczną, religijną, a jako koronę tego dzieła, system zakazowy handlu, mający wzbogacić rząd i poddanych. Idąc po téj pięknéj drodze, doprowadzili Hiszpanią w wieku XVII do zupełnego upadku. Błędna polityka zrodziła zarody choroby, przybierającéj coraz groźniejsze rozmiary a zakończone zupełnem wysuszeniem soków żywotnych.

Zaraz po zdobyciu Grenady, Ferdynand i Izabella kazali żydom nawrócić się lub opuścić półwysep pod karą śmierci i konfiskaty. Przywiązani do wiary przodków nie chcieli się wyrzec takowej, opuścili więc rodzinną ziemię. zabierając z robą kapitały, będące jedną z głównych dźwigni miejscowego przemysłu.

Wedle przekonania ówczesnych prawodawców, rzucone zostały tym sposobem prawdziwe podstawy wielkości państwa. W roku więc 1609 wygnali Maurów zasłużonych pracowników w różnych gałęziach przemysłu gospodarstwa i nauk, którzy z okolic zamieszkiwanych przez siebie, zrobili prawdziwy ogród, gdy inne części Hiszpanii obejmowały ziemię nieuprawną przypominającą pustynię amerykańską. Podobnie niemoralna samowola wywołała jak najgorsze następstwa w nędzy strasznéj dotykającéj, prócz rządzących, prawie wszystkie warstwy społeczeństwa. W ostatecznym jéj wyniku mogły być zagrożone nawet dochody prawodawców, wypadało więc wcześnie szukać środka zaradczego, aby skarb publiczny nie był zagrożonym. Ową dźwignią dobrobytu miał być system zakazowy handlu zaprowadzony z nadzwyczajną surowością. Zabroniono dowozu towarów i wyrobów zagranicznych, już nietylko do Hiszpanii ale i do jej kolonii nie wątpiąc o pomyślnych następstwach tego prawa. Nadzieje te nie były spełnione, ponieważ inne państwa odwzajemniając się za okazaną nieżyczliwość, nie chciały przyjmować płodów Hiszpanii jedynego jéj źródła dochodu. Zwrócono się więc do kolonii, chcąc ztamtąd wydobyć wszelkie możliwe a nawet i niemożliwe korzyści; zabroniono osadnikom uprawiania płodów i uskutecznienia tych wszystkich wyrobów, które dawna ich ojczyzna była w możności im dostawienia.

Do liczby przedmiotów zakazanych należały oliwki, winnice, konopie, len, jedwab i materye z nich wyrabiane. Pod wpływem wielkiego oburzenia, koloniści postanowili nie kupować dostawionych towarów, co w inszych czasach i w inszych okolicznościach nastręczyłoby trudność nieprzezwyciężoną.

Prawodawcy jednak hiszpańscy znaleźli środek na zwalczenie oporu, czyniąc kupno obowiązującem, i upoważniając urzędników do uskutecznienia rozkładu przywiezionych towarów, pomiędzy mieszkańców tak krajowców jakoteż przybyłych z Europy.

M. H. Scherer autor znakomitego dzieła wydanego pod tytułem, Historya Handlu, w ten sposób opisuje następstwa ogłoszonego prawa:

„Biedacy zarabiający ledwo na skromne utrzymanie, zniewoleni byli do kupowania ubiorów jedwabnych i aksamitnych, co było jawném szyderstwem z ich położenia. Indyanie niemający wcale zarostu na brodzie, płacili drogo za dostawione brzytwy a będące dla nich bez żadnego użytku; podobnież było z tabakierkami któremi napełniano ich kieszenie chociaż nie zażywali tabaki. Potrzeby *matki ojczyzny* były wielkie, zarzucono ich więc mnóstwem wyrobów koronkowych będących dla nich bez znaczenia: co gorsza zniewalano ich do kupowania wódki którą początkowo przyjęto z największym wstrętem, a przedmioty rzeczywistéj wartości dostawiano po cenach ogromnych wyciągających ostatni grosz zarobku.

Tak jak system handlu zakazowo-przymusowy nie wzbogacił ale zubożył Hiszpanią, tak też zjednoczenie wszelkiej władzy w rękach ulubieńców królewskich, nie dały jej bezpieczeństwa i pokoju, ale przeciwnie były powodem ustawicznych wojen domowych pod najrozmaitszemi pozorami. Każde bezprawie prędzéj lub późniéj sprowadza konieczne zasłużoną karę, jest to pewnik wypisany krwawemi głoskami na kartach historyi.

System zakazowy wywołał przemytnictwo towarów w rozmiarach kolosalnych, na nic się nie zdały straże celne: przy niesłychaném przekupstwie urzędników, towary zagraniczne wędrowały spokojnie do najbardziéj oddalonych zakątków. Zabroniono okrętom zagranicznym przybywania do portów hiszpańskich, nawet celem schronienia się przed burzą; wszystkie te jednak środki mechaniczne nie pomogły: Hiszpania i jej kolonie przez dwieście lat były krainą płynącą mlekiem i miodem dla kontrabandzistów całego świata. Nie mogąc inaczéj, postanowiono wyciągnąć jakąś korzyść przez upoważnienie przemytnictwa za pewną oznaczoną opłatą, co zasiliło niewiele skarb państwa, a było źródłem nowych nadużyć i różnych zatargów politycznych.

Wspomniany powyżej historyk w taki sposób opisuje stan Hiszpanii w końcu XVII-go wieku.

„Miasta przedstawiały obraz przerażający, bo stare domy po większéj części leżały w gruzach, a nowe które rozpoczęto budować w lepszych czasach stały nieukończone. W Katalonii trzy czwarte części wiosek były opuszczone.

Estramadura słynna ze swéj żyzności i pięknego klimatu stała się pustynią, przestano uprawiać winnice, a żyzne role w Staréj Kastylii zamienione zostały na pastwiska. W okolicach Segowii powiat jeden miał nadane nazwisko *despoplado* ponieważ utracił wszystkich mieszkańców bez wyjątku.

Smutne przykłady zaczerpnięte z dziejów Hiszpanii nie były stracone dla ludzkości, a po części i dla niéj, ponieważ doświadczenie bolesne kazało szukać innych dróg postępowania zgodniejszych z rzeczywistym pożytkiem tak rządzących jakoteż i rządzonych, znajdujących coraz obszerniejsze zastosowanie w stosunkach międzynarodowych. Nawet dla Hiszpanii zaczyna świtać jutrzenka pomyślności, można już dostrzedz wiele znaczące objawy a któż wie co w łonie swojem ukrywa przyszłość?

Znaczna liczba wystawców hiszpańskich w Paryżu jest niewątpliwie dowodem rozbudzanego ducha narodowego, trzeba bowiem pewnéj odwagi, energii i przedsiębierczości, aby nie ulęknąć się współzawodnictwa i porównania z pracownikami całego świata.

Tymczasem aż ośm tysięcy hiszpanów obojga płci, przyjęło udział w turniejach przemysłowych, ciesząc się z powodzenia, nie zniechęcając się porażką, ale obiecując sobie w późniejszym czasie wypełnić okazane niedostatki.

Dział hiszpański na wystawie znajdował się w dwóch miejscowościach: w dziale pierwszym zwracały na siebie główną uwagę ozdobne wyroby bawełniane, celujące pod względem kolorów i dokładności rysunku. Katalonia jest głównem siedliskiem przemysłu tego rodzaju i z prawdziwą chwałą dla siebie umie utrzymać swe pierwszeństwo w tym kierunku.

Zbywa jednak na innych okazach przemysłowych szczególniéj ozdobnych; słynne niegdyś Toledo z wyrobów metalowych dzisiaj nadesłało niewielką liczbę przedmiotów i to jeszcze wykonanych w stylu dawnym. Za to można było dostrzedz prawdziwy arsenał składający się z wydoskonalonéj broni ręcznej i armat, ustawionych wedle wszelkich przepisów estetyki i praw wojennych. Dla większego złudzenia nadesłano figury gipsowe wyobrażające żołnierzy hiszpańskich we właściwych im mundurach, co niespodzianie przenosiło nas zupełnie do innego świata, jakbyśmy znajdowali się w obozie przygotowanym do stoczenia walnéj bitwy. Myśl zupełnie niezgodna z dążnością wystaw międzynarodowych.

Przegląd literacki.

(Dokończenie).

Bardzo zajmującym utworem. zarazem i powieścią i pamiętnikiem, jest dzieło Kajetana Kraszewskiego „Chełmianie“ (Warszawa 1878). Sędziwy autor, brat wielkiego mistrza, teraz dopiero wystąpił na polu literackiem: pierwszém jego dziełem było wydane przed dwoma laty opowiadanie „Koniuszyc brzeski,“ a w roku bieżącym Warszawa poznała po raz pierwszy i dramatyczne utwory Kajetana Kraszewskiego. Treść do swych utworów autor czerpie wyraźnie z podań i pamiętników epoki niezbyt odległéj, a tyle już dziś dla nas obcéj, któréj pozostałości i odgłosy wykołysały nam jeszcze obu Kraszewskich. W dziełach Kajetana widocznym jest bardzo niewielki udział swobodnéj twórczości autorskiej: wszystko u niego tchnie prawdą rzeczywistego życia, wypadki, postacie i charaktery tryskają życiem i pociągają ku sobie czytelnika, chociaż nie ma tu ani sztucznie powikłanych sprężyn ani wyszukanéj afektacyi. Książka p. n. Chełmianie jaśnieje temi właśnie zaletami. Autor wkłada swe opowiadanie w usta pana Narbutta, dworzanina Sapiehów kodeńskich, a czasy chorobliwéj kryzys i przełomu, na tle których roztacza się opowieść, niemniéj jak widownia opowiadania — ziemia chełmska, która, choć na zapadłem Podlasiu położona, wówczas położoną była na granicy dwu kordonów i niedaleko od miejscowości

w których rozstrzygnęły się ostatecznie losy kraju — to wszystko podwyższa jeszcze ciekawość czytelnika. Opowiadanie pana Narbutta zaczyna się od krótkotrwałej kampanii 1792 r. w której nasz dworzanin chwilowo powąchał prochu pod Terespolem. Tu ocalił mu życie Szkliński, szlachcic wzrostu potężnego i siły olbrzymiéj. niedościgły szermierz do szabli i kielicha; ztąd wieczna wdzięczność Narbutta dla Szklińskiego — wdzięczność, która stała się niemal niewolą według obranéj przez autora dewizy: „vinculum imposuit, qui beneficium fecit“ (włożył kajdany ten kto okazał dobrodziejstwo). Powodowany wdzięcznością Narbutt nietylko zrzeka się dla Szklińskiego zabiegów o rękę panny, którą sam kochał, ale nawet po bohatersku pracuje skutecznie na korzyść swego rywala i dobroczyńcy.

To jest właśnie romansowa nić opowiadania, w ciągu którego pokazuje nam autor takie żywe i nieocenione typy jak Olędzcy, szczególniéj biskup-sufragan „Franio“ doktór Krebs, rezydenci Drewnowski i Horecki, ksiądz Hieronim kwestarz i wiele innych. Stanisław Olędzki, gwałtowny, popędliwy i despotyczny, ale w gruncie dobrego serca; uczony sufragan, zarazem żywy, mówiący często bez związku i sam siebie „Franiem“ nazywający; doktór Krebs z kiepska po polsku zalecający na wszystkie choroby wino, którego sam był gorliwym zwolennikiem i opatrujący pokiereszowane twarde łby szlacheckie; rezydenci, z których jeden przytacza ciągle wojewodę, u którego niegdyś sługiwał, a drugi, wróg wszystkiego, co drukowane, spiera się z tamtym zawzięcie — wszystkie te postacie są tak prawdziwe, że czytelnik albo je sam w dzieciństwie widział, albo zna z opowiadań lub z niezrównanych utworów Kaczkowskiego, Pola, Mickiewicza, Chodźki i Syrokomli.

Typ kwestarza tchnie tym zaginionym już dzisiaj humorem staropolskim, którego próbkę przytoczymy tu w skróconem opowiadaniu, ks. Hieronima o wizycie u podkomorzego Rajskiego, który był kalwinem.

„Burza mnie sroga wedle dworu Podkomorzego spotkała: musiałem się chronić pod gospodarskie zabudowania, że zaś to było *in conspectu* (na widoku) rezydencyi, przysłano po mnie abym przyszedł do dworu. Wiedziałem, że to jest dom kalwiński, ale cóż miałem począć? Poszedłem tedy, a właśnie piątek był i państwo u stołu siedzieli, repetując mięso bez żadnego skrupułu... Pan Podkomorzy Rajski per civilitatem (przez grzeczność) posłał wnet do kuchni, aby mi coś postnego zrobiono. Tymczesem zabawialiśmy się dyskursem. A wiedzieć potrzeba. że ten oto psina, którego państwo widzicie, nigdy nie odstępuje mojej persony i tam się téż za mną do pokojów wcisnął. Tandem (wreszcie) gospodyni domu, mięsa jakiegoś na talerz włożywszy, postawiła na ziemi, podając memu pieskowi. Ale, przysłowie mówi wyraźnie: qualis herus, talis et canis (jaki pan, taki pies) — przywykłem ja do obedyencyi (posłuszeństwa zakonnego), za cóż pies miałby być lepszym od kwestarza? Więc i mego kondyska przyuczyłem tak, że z cudzych rąk nie weźmie nic — choćby mu sam król jegomość kiełbasę dawał. Mój tedy Azorek, powąchawszy trochę, strzepnął uszami, a jakby tentacyi (pokusy) unikając, podkuliwszy ogon, cofnął się i usiadł zdala. Notandum (należy zauważyć) że o ile podkomorzy jest grzeczny i ludzki, a tolerant wielki, o tyle sama pani, operto capite (zamknąwszy oczy) trzyma się herezyi, będąc przy tem, jak powiadają, na cztery nogi kuta. Zobaczywszy więc, że piesek nie je, heretyckim konceptem ruszyła i rzecze do mnie: „cóż to? i piesek, widzę, księdza kwestarza, mięsa w piątek nię jada, czy i on katolik?“ Na to ja, podniosłszy się i skłoniwszy z wielkim respektem, odrzekłem: „tak jest, JW. Pani, ale on tylko jeden, bo zresztą wszystkie psy — kalwiny.“ Co JW. Rajski usłyszawszy, zaczął się śmiać niezmiernie i wpadłszy w humor doskonały, zawołał: „brawo, spisałeś się gracko, księżuniu: daruję ci za to całego wołu do klasztoru,“ a do żony odwróciwszy się dodał: „a widzisz imość, nie trzeba ludzi niewinnych napastować.“

Z epoki zajęcia owej części kraju przez Austryą mamy w książce nieco „wesołych i komicznych szczegółów. Wiadomo że Austryacy i Prusacy w zajętych krajach natychmiast zaprowadzali swój język-niemiecki i przysyłali swoich urzędników, mało albo zupełnie nieświadomych mowy krajowéj i obyczajów mieszkańców. Urzędnicy austryaccy byli to po większéj części mniéj lub więcéj zniemczeni czesi — jedna z najgorszych w świecie biurokracyi, któréj istnienie przewlekło się już do dni naszych w Galicyi. Wesoła i hulaszcza szlachta polska — gdyż niestety ogół jej nie przestał być wesołym i hulaszczym nawet w epoce klęsk i upadku kraju — lubiła przedrwiwać tych cudzoziemców i płatać im mniéj lub więcéj dotkliwe i grube figle.

O podobnych wybrykach krążyło mnóstwo opowiadań, równie jak i komicznych anegdot o owych harcapowych germanizatorach z XVIII wieku. Godzono się potém często i bratano przy kieliszku, przy którym po wszystkie czasy polak wszystkiego zapomina, uczuwając nieprzepartą skłonność do uścisków i całusów...

W książce Kraszewskiego pełno opisów tego bratania się kieliszkowego z Austryakami. Co do szczegółów humorystycznych, przytaczamy opowiadanie o tém, jak urzędnik austryacki, robiąc spis ludności w jednej ze wsi ziemi chełmskiéj, mnóstwo dziewcząt *przesiedlił do Zamościa*, bo gdy włościanie na pytanie o tę lub ową dziewczynę odpowiadali: *poszła za mąż*, Niemiec rozumiał że to znaczyło: *poszła do Zamościa* i zapisywał *ausgewandert nach Zamoszcz* (przesiedliła się do Zamościa.

Zdarzały się i mniéj komiczne, czasem smutne nieporozumienia i gwałty wzajemne. Tak, powiada autor, raz jeden z kreis-kapitanów (naczelników powiatu) uderzył pewnego szlachcica batem, za co szlachcic kazał go zamknąć w chlewie na noc całą; inny znowu kreis-kapitan dostał sto batów od innego szlachcica, którego we własnym jego domu obraził i t. p.

Szczególniéj zabawnem jest opowiadanie o adwokacie czeskim, który przybył w charakterze opiekuna i rzecznika włościan (Unterthansadvocat) przeciwko szlachcie. Był to Czech, nazwiskiem Sahanek. Zebrawszy tedy raz gromadę, narzucił się na nieproszonego i niepożądanego obrońcę i protektora i w zapale krasomówczym wykrzyknął że jest człowiekiem *humannym* (ludzkim), *ekonomistą* i *demokratą* i że dla tego tutaj go przysłano. Włościanie niebardzo zrozumieli te wyrazy, aż nareszcie jakiś dworak dał takie objaśnienie: powiada on że wpierw był *gumiennym*, potem—*ekonomem*, a nareszcie coś *w domu kradł* i za to go tu przysłali.“ Niebardzo to jakoś dobrze usposobiło słuchaczy; pomimo to pan Sahanek nie tracąc werwy, rozpoczął na nowo prawić i zachęcał włościan, ażeby trzymali się *solidarnie*. Tu znowu chłopi zrozumieli, jakoby pan adwokat obiecywał im *soli darmo* (z Wieliczki). Powstały więc okrzyki zadowolenia i głosy dziękczynne, ale gdy pan adwokat zrozumiawszy o co chodzi, jął tłomaczyć, że soli darmo obiecywać nie może, niechęć gromady wzrosła do najwyższego stopnia. Dali mu wreszcie podwodę, z siedzeniem wysłanem kolącą tarniną i wyrzucili gdzieś na drodze. Tak to nowo zagarnięci pod berło austryackie włościanie nie zdołali należycie ocenić józefińskiego liberalizmu.

Ciekawym jest także ustęp, skreślony humorystycznie, o egzorcyzmach w celu wypędzenia „przeszkadzających“ duchów, odbytych jeszcze 1796 r. w Dorogusku na Podlasiu (dziś stacya kolei nadwiślańskiéj).

Sprowadzono z Chełma księdza Patrycego reformatę, który słynął jako egzorcysta i ten, w obecności licznego zjazdu szlachty i biskupa chełmskiego odprawił nabożeństwo, potem poświęcił kawałki papieru, na których były napisane początki 4 ewangelii i wyrazy Agnus Dei (Baranek boży), a także jakieś zioła, żółć rybią i wodę. Kadzeniem z traw i żółci możnaby, powiada autor, wypędzić dużo mocy nieczystej, gdyż to kadzidło nie odznaczało się wonnością, a i sama powierzchowność ks. Patrycego była taka, że nietylko dyabli, ale nawet święci uciekaliby od niego. Po nabożeństwie odbyto procesyą po wszystkich pokojach dworu, kadzono, kropiono, czytano ewangelie i specyalne egzorcystyczne modlitwy, a wzmiankowane poświęcone kawałki papieru przybijano na ścianach. Szczególniej ks. Patrycy kazał pilnie zbierać skorupki, to jest jakiekolwiek resztki lub kawałki, gdyż do tych najwięcéj lgnęła moc nieczysta. Tak odbywano z zupełną wiarą egzorcyzmy, mające wyganiać dyabłów, jeszcze przed 80 laty.

Wszelako dodaje Narbutt, usiłowania ks. Patrycego były daremne: czy to pozostało gdzie w kątach pokojów kilka skorupek, czy to w rytuale egzorcystycznym zaszła pomyłka, dość że jeszcze i póżniej „przeszkadzało“ w zamku dorohuskim.

W końcu niepodobna nam ukryć smutnego wrażenia: w książce p. Kraszewskiego, posiadającéj wszystkie cechy pamiętników, znajdujemy wprawdzie tu i owdzie błyski uczuć obywatelskich, ale przeważa lekki i swawolny, egoistyczny i hulacki nastrój społeczeństwa w czasach tak smutnych i złowrogich. Tak było, niestety, nie pierwszy raz i nie ostatni... S.

Opis ryciny kolorowej.

Ubranie wizytowe. Na sukni z niebieskiéj satynki, formą princesse, niedostającéj do ziemi włożona biała muślinowa zdobna koronką i wszywkami (valencienne). Szalowa draperya spięta z tyłu kokardami spuszczona jest prostym końcem do dołu sukni. Z przodu wzdłuż zapięcia sukni dany wachlarzowy garnirunek z koronki, przepiętéj kokardami z wstążki niebieskiéj i żółtawéj. Trzewiczki z paskami.

Ubranie wieczorowe. Wykończone z ponsowego atłasu i faille koloru chamois; z przodu ma stanik odcinany, plecy zaś formą princesse oddzielają się z boków na kształt dworskiego trenu. Plastron na staniku i przedni bryt są wspaniale haftowane; dolny brzeg przodu poniżéj haftu przemarszczany jest w bufki, przepinane gałązkami granatu. Z pod bufowania spada kosztowna frendzla jedwabna, dana również na trenie podszytym chamois materyą. We włosach kwiat granatu.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 28 Ноября 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).